

Księga wyjścia – 2

21 marca 2019

Ballada w sam raz na początek nowej serii

Są rzeczy, do których nigdy nie przywiązywałem wielkiej wagi. Z pewnością należą do nich pieniądze. Chociaż to cecha występująca również sporadycznie w „zdrowym” społeczeństwie, to charakteryzuje ona głównie nałogowców. Typowe ćpuńskie „jakoś to będzie” jest w tym środowisku czymś zupełnie normalnym. Człowiek uzależniony jest w stanie ogarnąć jako tako świat do momentu, w którym przygrzeje lub osiągnie swoją fazę. Dopiero wtedy zaczyna planować, a raczej kombinować, co dalej, bo faza niebawem się skończy, trzeba więc wymyślić sposób zdobycia czegoś, co pozwoli dalej być w błogim świecie. No ale wiadomo „jakoś to będzie”.



Dla mocno zdesperowanego nałogowca brak pieniędzy nie jest problemem. Wystarczy wyskoczyć do najbliższej perfumerii, by zwędzić flaszkę markowych perfum, które z miejsca kupi pierwszy lepszy taksówkarz. Dalej niż do najbliższego strzału wyobraźnia przeciętnego narkomana nie wybiega. Są oczywiście

wyjątki – to tacy, których uzależnienie już tak zmęczyło, że starają się za wszelką cenę uciec od niego myślami. Zwykle są to ucieczki w twórczość jakąkolwiek, może to być muzyka, rysunek, poezja, proza, ale również ogród czy kwiatki doniczkowe. Chociaż do końca uciec się nie da, ale próbować można. Z pewnością pomoże to podczas terapii i świadomego trzeźwienia.

Bywają dni, wprowadzie rzadko, ale jednak, gdy na rynku nie ma na towaru. W momencie krytycznym, czyli na głodzie, byłoby to tragedią, ale od czego są apteki? W razie posuchy na bajzlu, można kupić dragi u sympatycznej pani magister w najbliższej aptece. I to bez recepty. Wtedy ponownie przychodzi spokój i wraca stara dobra maksyma „jakoś to będzie”.

Ostatnio dużym powodzeniem cieszy się fentanyl – substancja sto razy silniejsza od morfiny (!). To na jej bazie produkuje się plastry przeciwbólowe dla chorych na raka. Ponieważ jednak jedno prawidłowe użycie przez chorego na nowotwór pacjenta, pochłania jedynie trzydzieści procent fentanylu, narkomani wzięli się na sposób i przegrzebują śmietniki w okolicach szpitali i hospicjów, by wygrzebać zużyte plastry i wyrzucone plastry. Te pozostałe siedemdziesiąt procent to prawdziwy skarb.

Zeskrobuja fentanyl z noszonego przez kogoś plastra. Narkotyk ten jest cholernie silny, a wygrzebany ze śmietnika, to nie trzeba za niego płacić. Świadomość, że ktoś nosił to na przeпоconym ciele nikomu nie przeszkadza. Jeśli narkoman chce przygrzać dożylnie i zabraknie mu wody do rozcieńczenia, bez wahania nabierze w strzykawkę wodę z kałuży, którą następnie wbija sobie w odnalezioną żyłę. Widziałem takie przypadki.

Nawet chwilowy brak kasy nie powoduje jakiejś głębszej refleksji, żeby zweryfikować myślenie „jakoś to będzie”. Zresztą, nie tyle o pieniądze tu chodzi, lecz towar. Cóż da największy nawet majątek, jeśli nie ma na rynku towaru, a apteki zamknięte. Pieniądze nałogowcowi potrzebne są jedynie

na kupno tego co akurat zażywa, więc same w sobie wartości nie mają, są jedynie narzędziem do zdobycia narkotyku. Ale działa to również w drugą stronę. Człowiek uzależniony, nawet jeśli zostanie pozostawiony bez grosza, w zupełnie obcym mieście prędzej czy później – raczej prędzej – zorganizuje sobie towar lub alkohol. Tego fenomenu jeszcze nikt nie potrafił wytłumaczyć.

Wielokrotnie pytacie mnie ile dostaję za felieton w „DT”. Gdy odpowiadam prawdę, mam wrażenie, że nie wierzycie. Miałem nawet na detoksie sytuację, że Marta – bohaterka jednego z felietonów – zażądała ode mnie 300 złotych twierdząc, że dostałem za felieton o niej sześć stów.

Otóż nie dostaję za te artykuły ani grosza. Po pierwsze to ja zaproponowałem redakcji współpracę, a po drugie żeby zarobić w „DT” jakieś pieniądze, trzeba zaangażować się w pracę redakcyjną – a ja tylko piszę felietony. Owszem, kilkanaście lat temu dostawałbym całkiem niezłą wierszówkę, ale czasy się zmieniły.

Będąc jeszcze w Anglii zadzwoniłem do red. nacz. Piotra Gadzinowskiego i zaproponowałem mu swoje felietony. Ucieszył się, ale uprzedził, że nie mają budżetu na wierszówki. Znamy się od lat, pracowaliśmy razem w tygodniku „NIE” – szczerze uprzedził mnie, że nie stać ich na wierszówki dla publicystów, zaproponowałem więc, że będę pisał nieodpłatnie. Pisanie to mój nałóg, mogę go więc uprawiać bez pieniędzy. Bez pieniędzy, ale w świetnym towarzystwie, wśród ludzi, których lubię i cenię – zarówno Piotrka Gadzinowskiego jak i Grzeška Walińskiego, wiedziałem, że nie będą ingerować w moje teksty, dlatego ucieszyło mnie, że doszliśmy do porozumienia.

Obecnie coraz więcej gazet przestaje płacić autorom, wyjątkiem są prawicowe, wysokonakładowe i dotowane w różny sposób przez państwo periodyki i niektóre portale internetowe. Poza tym prasa papierowa biedą stoi. W porównaniu ze złotą dekadą lat dziewięćdziesiątych, gdzie pisanie zarabialiśmy krocie,

przyszedł czas posuchy, a żyła złota nagle się urwała.

Nie wiem czy jest to wina Internetu, czy tekstów, których czasem jakość jest niżej poziomu, zarówno warsztatowego jak i merytorycznego, a często – aż wstyd przyznać – ortograficznego. Jeśli przypadkiem wpadnie mi w ręce jakakolwiek gazeta, z przerażeniem czytam teksty, które – pomijając wartość merytoryczną – bo nie jestem w stanie zweryfikować, czy opisane zdarzenie miało miejsce – wszystkie informacje pisane są jednakowo, pewnego rodzaju kalką. Czasami różni je jedynie ilość błędów ortograficznych i nazwiska wymienionych lokalnych polityków, czym przypominają raporty policyjne, z których niejednokrotnie mieliśmy ubaw.

Współczesne dziennikarstwo prasowe opiera się na kombinacji kilkudziesięciu słów, które wystarczy dopasować do jakiegoś wydarzenia.

Pozostaje mieć nadzieję, że to zjawisko przejściowe. Nie wyobrażam sobie również dobrego reportażu czytanego na monitorze, podobnie jak nie mogłem przywyknąć do czytania książek na kindlu. Ale to przez sentyment do papierowych wydań.

Jestem pewien, że żaden portal internetowy nie jest w stanie zagrozić naprawdę dobremu reportażowi gazetowemu – bo w kwestii newsów nawet nie warto się ścigać – sieć zawsze wyprzedzi papier. Dlatego siłą prasy drukowanej są właśnie reportaże, felietony i wszystko co można nazwać publicystyką, czyli teksty ponadczasowe o wysokim poziomie literacko poznawczym.

Pozytywem tej nędzy finansowej jest to, że oczyści rynek z autorów, którzy przyszli do tego zawodu dla kasy – która jak już wspomniałem w latach dziewięćdziesiątych była całkiem spora – już pomału się wykruszają i zostają pasjonaci, ludzie, którzy bez pisania nie potrafią żyć. A czytelnik mając więc do wyboru marnej jakości tekst, którego źródłem są wpisy w socjał

mediach, czy post napisany przez człowieka, który nie potrafi zweryfikować informacji, nie ma warsztatu, ani specjalnego pojęcia o pisaniu i ortografii z perfekcyjnie przygotowanym przez zawodowców tekstem prasowym – prędzej czy później ponownie sięgnie po papierowe wydania i ponownie, jak jeszcze kilkanaście lat temu, w pociągach czy autobusach zobaczymy ludzi wertujących z wypiekami na twarzy kolejne strony ich ulubionych gazet. Żeby prasa papierowa nie umarła śmiercią naturalną potrzebni są profesjonalni pasjonaci, którzy zamiast pytania: ile dostanę za ten artykuł? Zapytali: na kiedy mam przysłać tekst? Oczywiście, z czegoś trzeba żyć i to, że znalazłem jedną pozytywną cechę nie oznacza, że jestem zwolennikiem pisania za darmo.

Zwróćcie uwagę jak długo można pisać, o tym że nie biorę z „Trybuny” kasy. A mógłbym skwitować to jednym zdaniem, zamiast poświęcać temu większość miejsca na stronie. Wydało mi się to jednak o tyle ważne, że musiałem o tym napisać.

Ale do rzeczy, czyli wątku głównego, dorosłego niemowlęcia – czyli nałogowca, który wychodząc z detoksu opuścił bańkę ochronną zupełnie jak noworodek łono matki.

Gdy tylko jako tako uporałem się z urządzeniem na nowo mieszkania, wciąż jednak wydawało się obce. Przyszedł moment by zadać sobie pytanie – co dalej? Zanim dojdę do moich ustaleń z ordynatorem, opiszę kilka wspomnień, które miały wpływ na obrany teraz kierunek.

Moim priorytetem jest oczywiście wydanie kolejnej książki, poskładanie setek, jak nie tysięcy notatek. Od ostatniej terapii, poprzednim żmudnym wychodzeniu z dna, przez pracę w Anglii, pierwsze zapicie we Francji i powrót do kraju. Czyli mozolny proces trzeźwienia zakończony fiaskiem. Tym razem piszę, by już więcej wpadki się nie zdarzały.

Ustaliliśmy z lekarzem, że książka to zbyt duże przedsięwzięcie i żebym zaczął od drobnych kroków, małych

sukcesów. O książce oczywiście nie zapominając, wiem z doświadczenia jakie to ogromne wyzwanie. Pomijając już stronę techniczną – czyli poskładanie i segregację wszelkich notatek, uzupełnienie ich i połączenie w logiczny ciąg, potem korekta, projekt okładki, zdobycie kasy na wydanie no i znalezienie wydawcy, kwestie formalne itp. A to naprawdę nie jest łatwe.

Skupiając się jedynie na książce byłoby to zajęcie pasjonujące, pochłaniające w całości, ale na zasadzie zrywów. Kilka dni pracy po dwadzieścia godzin i potem kilka dni gapienia się w sufit w oczekiwaniu na odpowiedź, propozycje czy projekty. Potem kolejny zryw, wybór okładki, korekty, umowa i znowu kilkutygodniowy zastój w oczekiwaniu na pierwszy egzemplarz.

Według ordynatora warunki idealne, bym wpadł w kolejny ciąg, zwłaszcza ten okres oczekiwania i niepewności. Z hardkorowej 20-godzinnej pracy, wyhamowanie do dwutygodniowego „nic”.

Musiałem wymyślić coś innego. Powrót do zawodu również odpada. Po pierwsze rynek pracy dla dziennikarzy skończył się kilka lat temu i co chwilę nawiedzają redakcje mniej lub bardziej znani, szukający zajęcia, dziennikarze i publicyści. Skończyły się już etaty w redakcjach, jedyne na co można liczyć to ryczałt i wierszówkę – czyli honorarium autorskie za napisany artykuł. Ale jedynie w niektórych redakcjach, a tak się składa, że z różnych przyczyn do tych drzwi nie zapukam. Zresztą z każdym rokiem te kwoty są niższe. Poza tymi, które przejęły wszelkie ogłoszenia państwowe z „Wyborczej”, te redakcje mają kasę i to niezłą.

Jeśli podobnie jak ja, nie jestem w stanie pokonać odrazy do pisania we wspomnianych periodykach, część moich znajomych zdecydowała się pisać za darmo, nie tylko po to, by ich głos został usłyszany. Ale jeśli ktoś ma to we krwi i nie podchodzi do tego cynicznie, to bez pisania nie może już żyć.

Mógłbym oczywiście zaangażować się w pracę ściśle redakcyjną w

„DT” – to pewnie wiązałoby się z jakimś wynagrodzeniem, ale utrudniłoby pisanie felietonów – a to jest dla mnie ważniejsze. Zarówno ja, jak i część czytelników zdążyliśmy się do nich przyzwyczaić. Okazuje się, że teksty te dostarczają nie tylko rozrywkę, ale pomagają, wspierają tych, którzy podobnie jak ja, starają się wyrwać z błędnego koła uzależnień.

Dostaję sporo wiadomości na moją prywatną skrzynkę Fb – dużo w nich ciepła i wdzięczności. Niektórym otwiera to oczy, że nie są sami z tym problemem. Nie mogę więc zrezygnować, ale też nie będę silił się na analizę nałogów i nie zamierzam skupić się jedynie na nich. Zamiast zastanawiać się jak żyć, zacznijmy żyć. Tak po prostu, żyć.

Długo zajęło mi znalezienie zajęcia, które spełniłoby terapeutyczne kryteria zalecone przez ordynatora.

Usiłowałem przypomnieć sobie co w swoim życiu robiłem. Przeleciało mi przez głowę wszystko, łącznie z domem kultury, w którym byłem instruktorem, przez budowę domów i układanie dachówki w Szwecji. Przypomniałem sobie, że już raz byłem w podobnej sytuacji. Po powrocie z wojny w byłej Jugosławii przestałem pisać. Wszystkie krajowe tematy, wszelkie rewelacje, wydawały mi się miałkie, banalne i niewarte pisania. Po tym co widziałem w Serbii i Kosowie, żaden temat nie był w stanie mnie porwać na tyle, by chociaż z grubsza o nim napisać. Zresztą nie potrafię pisać z „grubsza” i na odczepnego. Do pisania wróciłem dopiero po dziesięciu latach. Jeśli nie czuję tematu, zwyczajnie się za niego nie zabieram. Jestem reporterem i najlepiej czuję się w reportażu wcieleniowym. To styl „nowego dziennikarstwa” – promowanego przez Ryszarda Kapuścińskiego, by mieszać formy. Tak naprawdę, większość moich felietonów można zakwalifikować jako reportaże i w tej narracji chciałbym pozostać pisząc kolejny cykl. Tu nie tyle umysł co emocje i wrażenia są autorem tekstów. Oczywiście istnieje wtedy ryzyko popełnienia jakiegoś drobnego błędu – choćby w liczbie uczestników tej czy innej

imprezy, ale właśnie nowoczesne dziennikarstwo polega na oddaniu ducha, charakteru opisywanego zdarzenia. Niekoniecznie najważniejsze jest, żeby pytać organizatorów o dokładną liczbę uczestników. Błędy te są jednak marginalne i nie mają wpływu na sens, klimat i atmosferę – czego nie odda suchy tekst. Dlatego według mnie są bardziej prawdziwe, bo zabierają czytelnika w opisywane miejsce. Nie tylko autor, ale czytelnik poznaje empirycznie atmosferę zdarzenia.

Chyba rozpisałem się o technice i kulisach pracy, która jest jak na razie poza moim zasięgiem. Oprócz „Dziennika Trybuna”, z którym łączy mnie sentyment („Trybuna” była pierwszą redakcją, z którą zacząłem współpracować), a tak się złożyło, że obecny zespół składa się w większości z moich znajomych i przyjaciół.

No i wciąż nie napisałem czym wypełnię sobie czas, czym przekonałem ordynatora. Zrobię to już w kolejnym odcinku.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info